

Paweł Fleszar

Wyśniona jedenastka

**Rozdział piąty
czerwiec 2004**

I.

Cizba jak w popołudniowym tramwaju do Bronowic. Maciek zmełł w ustach przekleństwo. Miejsca prasowe na stadionie Lecha znajdowały się w długiej, szklanej kabinie podzielonej przepierzeniami na mniejsze boksy, z położonymi przy szybie szerokimi parapetami, na których można było ustawić komputer. Dzisiaj jednak wpuścili tu kibiców, bo wszystko było zajęte. Szli z Jackiem wzdłuż korytarza, rozglądając się bez efektu, aż stanęli przed w pełni zabudowanym pomieszczeniem, z drzwiami. Okazało się, że nie zamknięto ich na klucz, a w środku są dwa krzeselka i pulpit. Rozłożyli się szybko i zaczęli wpisywać składy, jakieś bocзки na temat Superpucharu. Do rozpoczęcia gry zostało 15 minut.

- Co panowie tutaj robicie?! To moje miejsce, proszę stąd wyjść! Jak ja mam pracować!? - nad ich głowami rozległ się władczy głos. Wyganiał ich Roman Skrzecz, który w niedzielne wieczory oceniał arbitrow w telewizji, ale zarabiał też jako obserwator sędziowski na meczach I ligi. Jacek udawał, że nie słyszy, klepał w klawisze. Maciek już się obejrzał, więc wziął na siebie walkę o byt.

- My też jesteśmy w pracy, a miejsc z pulpitemi potrzebujemy bardziej od pana. Organizator ma obowiązek nam je zapewnić. Tylko tutaj były wolne.

- Co? Co! - nadymał się coraz mocniej jowialny na ogół pan Romek, a młody mężczyzna z tyłu, chyba syn, pociągał go mitygująco za łokieć.

Maciek też już go ignorował. Po chwili pojawił się facet pod sześćdziesiątkę z obwarzankiem włosów, wyglądający jak kierownik sklepu, albo magazynier z czasów komuny.

- Panowie redaktorzy, tam są już dla was świetne miejsca, w samym śródeczku. A po meczu zapraszam na kielicha.

Kiedy przenosili się do sąsiednich boksów, gdzie faktycznie kibice porozsuwali się, robiąc im po pół metra wolnej przestrzeni, Jacek trącił go z kpiącym uśmiechem: - Nie marzyłeś, żeby napić się wódki z osławionym "Cukiernikiem"?

Zmieszał się. Nie poznał jednego z najbardziej wpływowych ludzi polskiej piłki.

"Jeśli masz deadline tuż po zakończeniu regularnego czasu meczu, a mogą być dogrywka i karne, to pewnie będą" - tak powinno brzmieć pierwsze prawo Murphy'ego dziennikarstwa sportowego. Choć bywają fortunne przypadki, jak w finale Ligi Mistrzów w 1999 roku. W redakcji na stojąco oglądali końcówkę, niezależnie od indywidualnych sympatii trzymając kciuki za Bayernem, który miał na tablicy 1:0. Kiedy Sheringham wyrównał w 90. minucie, prowadzący numer redaktor Kowalski jęknął tylko żałośnie "nosz, kurwa!" i ze zwieszoną głową poczłapał do stanowisk grafików. W połowie korytarza dogonił go triumfalny ryk, bo Solskjaer dał zwycięstwo Manchesterowi United.

Na szczęście, w Poznaniu ten pokręcony regulamin nie przewidywał dogrywki i jakoś sprawnie to poszło. Wcześniej wiślacy na murawie ruszali się jak muchy w smole. Podobno po fecie był jeszcze wieczór kawalerski Tomczaka, więc dopiero od półtorej doby, od zbiórki przed wyjazdem do Poznania, wiedli sportowe życie. W drugiej połowie trochę ich odpuściło, wyszli na 2:1, ale znowu zawalili gola, a potem karne.

Tomek Strzelec był dosyć skruszony, bo przed piłką oganiał się jak od komarów. Nawet zaczął się tłumaczyć, ale Maciek nie zamierzał go przesłuchiwać na tę okoliczność. Ten numer gazety zamknięty, następny ukaze się za trzy dni, kiedy już wszyscy będą żyli mistrzostwami Europy. I wypowiedzi byłego reprezentacyjnego bramkarza na ten temat na pewno się przydadzą.

- Gdzie jedziesz na wakacje?

- Do Meksyku. Acapulco, plaża, ale chcę też poznać. Kultura Majów zawsze mnie fascynowała.
 - Euro zmieści się w programie?
 - Zobaczę, co da się tam złapać. Liczę, że będą transmisje; mamy tivi satelitarną w hotelu; poza tym Meksykanie uwielbiają futbol. Przy różnicy czasu mecze wypadną w porze sjeisty, więc to tym wygodniejsze.
 - W trakcie takich imprez delektujesz się, czy kibicujesz?
 - Zawsze staram się komuś kibicować, nawet gdy nie ma Polaków. Wtedy jest przyjemniej. Lubię Hiszpanów, ale wiesz, jak to z nimi jest: "grają jak nigdy, a kończą jak zawsze". Chciałbym żeby kiedyś wreszcie coś osiągnęli.
 - A faworyci?
 - Myślę, że Francja może zdobyć złotą nike. Zaraz, co ja mówię. Już mi się kicia po tym wieczorze. Może wygrać mistrzostwo Europy.
- Pogawędzili jeszcze chwilę o Raulu, przeciwko któremu Tomek grał kiedyś i do dzisiaj pamięta, jak ten próbował zaskoczyć go niesygnalizowanym lobem z bardzo daleka, a także o Zidanie, którego obaj lubili.

Maciek wrócił do pomieszczenia ni to gościnnego, ni to prasowego, gdzie na środku stołu z jedzeniem stał Superpuchar. Obok kapitan Lecha, Mariusz Koss gadał z jakimiś znajomymi po niemiecku, wyluzowani pociągali piwko z puszek. Jacek i Rafał z "Kurieria Krakowskiego", który przyjechał z nimi, a potem gdzieś się zawieruszył i nie wiadomo nawet, w którym miejscu oglądał mecz, stukali jeszcze w laptopy. Ich gazety przyjmowały teksty do północy i więcej miejsca przeznaczały na Wisłę. Podeszedł do błyskającego w kącie przyciszonego telewizora. Zaczynało się podsumowanie ostatniej kolejki sezonu.

- Piekło zamarzło! "Kępa" spierdzielił się z ligi! - aż krzyknął z zaskoczenia. Pozostali wiedzieli o tym wcześniej, bo wielkiego poruszenia swoją reakcją nie wywołał.
- Zespół Mariana Kępskiego zmierzył się z bezpośrednim przeciwnikiem w walce o utrzymanie, gdyby wygrał, to zajęłby bezpieczne miejsce. Sytuacja klarowna, a wydawałoby się, że dla kogoś takiego jak on - również łatwa. Nikt nie zakładał innego rozstrzygnięcia, po to go zatrudnili wiosną. Na ekranie ukazała się w zbliżeniu twarz "Kępy" podczas wywiadu. Ten kuty na cztery kopyta cwaniak po raz pierwszy sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co się dzieje. Wyglądał jak starszy pan zastanawiający się, czy wyłączył żelazko przed wyjściem z domu.

- Może padła mu bateria w telefonie - rzucił ktoś z sali, na co odpowiedział gremialny rechot.

Na wąskiej drodze z Poznania do Wrocławia światła jadących z naprzeciwka samochodów raz po raz siekły Maćka po oczach. Jechali jego mazdą, bo była zarejestrowana na tatę w miejscu obecnego zameldowania, dzięki czemu nie miała krakowskich blach. Tak było bezpieczniej i wygodniej. Większa nadzieja, że po meczu nie zostanie się samochodu bez szyby, no i policja, kontrolująca nadciągających kibiców Wisły, nie zatrzymywała przy dojeździe do miasta. Chwilami nawet nie zwracał uwagi na światła, prowadził bezwiednie, obracając w myślach kilka elementów, które były jak puzzle z pasującymi do siebie rysunkami, ale o gładkich brzegach, niemożliwych do połączenia. Kobieta ze skrzydłami trzymająca coś na głowie, złotą nike, piłkarskie mistrzostwa Europy i świata. Widział jednak tę wagę z uszami, którą nawet niedawno prezentowali na okładce w gazecie, no i Puchar Świata, wyglądający jak wypieczony na złoty kolor udziec.

- Słuchaj, jak wygląda trofeum mistrzostw Europy? - szturchnął łokciem Jacka, przysypiającego na fotelu obok.

- Cooo? - pytanie przerodziło się w ziewnięcie. - Nie masz teraz większych problemów? No taka waza. Nie wiesz?!

- Wiem, zgadza się. A mistrzostw świata?

- Żółta maczuga - Jacenty miał własne skojarzenia.

- Ok. Ale to nie jest pierwsze trofeum, bo poprzednie dostali na własność Brazylijczycy, po tym jak wygrali w 1970 roku?

- Dokładnie.

- I tu następuje właściwe pytanie konkursowe. Czy to poprzednie wyglądało tak samo?

- Zabij mnie. Nawet pamiętam takie zdjęcie Pelego, jak je podnosi w 1958 roku, ale w tym miejscu mam dziurę.

- Oglądaliśmy te same zdjęcia. I też bardziej pamiętam ten szeroki biały uśmiech w czarnej twarzy, niż to, co trzymał w rękach.

- Też masz wspomnienia. Ja to pamiętam bardziej zdjęcie jego strzału przewrotną, niż uśmiech.

- Nie filozuj. Jak się nazywała ta nagroda dawniej? Puchar Świata, tak jak teraz?

- Chyba nie, raczej od nazwiska tego, co wymyślił mistrzostwa świata i doprowadził do ich zorganizowania.

- Puchar Rimeta?

- Właśnie.

- Świetnie. Teraz grasz o nagrodę główną. Co ci mówi nazwa "Złota Nike"?

- Wypuszczalesz mnie do tej pory? Racja! Przecież to była jeszcze jedna nazwa tego pucharu, który przedstawiał boginię zwycięstwa!

Maciek słysząc to odruchowo zdjął nogę z gazu.

- Coś dzieje się z samochodem? - zaniepokoił się kolega.

- Nie, nic. Ale uświadomiłem sobie, że muszę coś przekąsić. Zatrzymamy się gdzieś.

- Nie wygłupiaj się, wPorzo, jadłeś dopiero przy Bułgarskiej. W tym tempie nie dojedziemy przed świtem.

- Przynajmniej część drogi przemierzemy przy świetle dziennym, tak jest łatwiej. Gdy zameldowałem się przy stole, zostały już tylko owoce. Nie jestem na diecie, ani chory. Tu zaraz powinna być restauracja inna niż wszystkie.

Zajechali pod żółte M, dla alibi kupił sobie kawę i ciastko jabłkowe. Rafał został spać na tylnym siedzeniu, a Jacek pogodzony z losem zajął się cheeseburgerem i colą. Nawet nie dziwił się, że Maciek wyciąga laptopa z bagażnika. Otwieranie stron po połączeniu z netem przez komórkę było okropnie żmudne.

- Może wpisz od razu "Jules Rimet Cup", bo na polskojęzycznych serwisach jest bida z nędzą - suflował mu przez ramię, kiedy na ekranie pokazała przeglądarka "Altavista". Wśród wyników wyszukiwania jedna strona nie chciała się załadować, na następnej nic nie było, Maciek zjechał o kilka linków niżej, klikając w portal FIFA. Na czołówkowym, czarno-białym zdjęciu siwy pan, ze starannie przyciętym w trójkąt wąsikiem wręczał figurkę eleganckiemu grubasowi z muchą w grochy i wielką białą chusteczką wystającą z butonierki. Kobieta na statuetce miała skrzydła i trzymała na głowie wysoką misę.

Prawie dokładnie tak, jak Ala zapamiętała tatuaż!

Tylko "Arcyłotra" nigdzie nie uświadczysz. Na zdjęciu największą uwagę zwracał facio stojący na

wprost fotografa - wydymał policzki, jakby treść żołądka podjechała mu do ust, a źrenice uciekały mu do góry.

- No jest, teraz to sobie przypominam - sapnął Jacek. - Piszą też o tej kradzieży przed mistrzostwami w Anglii, w 1966 roku, kiedy znalazł ją piesek.

- Niżej piszą o kradzieży w Brazylii w 1983 - Maciek starał się odcyfrować prosty angielski tekst. - I już od tamtej pory jej nie zlokalizowano.

Zobaczył na ekranie odbicie czerwonego punktu poruszającego się łukiem. Zerknął przez ramię, a tam za szybą stał obcy facet, zaciągał się równomiernie papierosem i gapił w ich laptopa. Kiedy zauważył, że obaj odwrócili się do niego, wzruszył ramionami i odszedł.

Przecież to jest kumpel kierowcy czerwonego escorta, ten, na którego natknął się w

"Szecherezadzie"! - olśniło Maćka. Co on tutaj robi?! Śledzi go?! Kiedy jednak wyszli na parking, a potem okrążył Maca udając, że szuka wyjazdu, nigdzie go nie zauważył.

II.

Maciej wtykał małe świece w przyniesiony w plastikowym pudełku duży trójkąt tortu, kupiony w cukierni obok K2 (obowiązywał żart, że to najwyższy szczyt politologii, lecz w kamienicy przy Krupniczej 2 miał też trochę zajęć na prawie).

- Ale jesteś kochany - powtarzała raz po raz Karolina, zanosząc się zdyszany chichotem i odliczając. - ...14, 15... 20.

Zaczął je zapalać, jednak wyzwaniem okazało się zaświecenie wszystkich choć na tak krótką chwilę, aby mogła je zdmuchnąć. Nie wziął pod uwagę, że na Kopcu Krakusa porywy wiatru są silniejsze niż na dole. Myślał, że jego jedynym problemem będzie lęk wysokości i kiedy usiadł na trawie, a mrowienie w nogach trochę ustąpiło, uspokoił się. Kurde, żeby taki fajny plan zniweczyły banalne niedociągnięcia realizacyjne. Teraz gasły szybciej, niż nadązał je zapalać. Karola przytuliła się do niego obejmując ramionami za szyję, dzięki czemu osłoniła świece lepiej od wiatru. A kiedy już paliła się cała dwudziestka, po prostu pochyliła głowę, przyklejając policzek do jego policzka i zdmuchnęła je.

- Widzisz, we dwoje można więcej - uśmiechnęła się tak zalotnie, że nie zdecydował się brać tego za aluzję do minionych trzech tygodni.

Kiedy spod akademika podjechali cztery przystanki do Starego Cmentarza Podgórskiego i zaczęli się wspinać w kierunku kopca, twierdziła, że zrobił jej niespodziankę, bo nie spodziewała się, iż wie, kiedy ma urodziny (a on po prostu kiedyś zajrzał do leżącego na wierzchu indeksu). Była jednak ubrana odświętnie, jak z ilustracji książki o grzecznych dziewczynkach. Rozpuściła włosy, a codzienny sportowy styl zastąpiła zapinana z przodu, niebieska, dzinsowa sukienka.

Biorąc pod uwagę, jak ostra była ich ostatnia kłótnia i jak śmiertelnie się na siebie obrazili, pojednanie przyszło zaskakująco łatwo. Karolina była chyba wdzięczna, że wykonał pierwszy gest. Kiedy natknęła się na niego na schodach budynku Wydziału Filologicznego przy Alejach, po prostu usiadła obok i wzięła go za rękę. Dzisiaj mieli już za sobą i wyjaśnienia tamtej awantury, i przeprosiny, i godzenie się do utraty tchu, i poważne rozmowy o "ich" aferze. Umówili się, że przygotują informacje o "Złotej Nike". On z książki Gowarzewskiego i starych zszywek "Kroniki Sportowej", ciągle leżących w redakcyjnym archiwum, ona - z angielskojęzycznych stron internetowych, po których miała posurfować w "Jagiellonce".

Oczywiście, Maciek zjadł prawie cały tort, bo Karola odmawiała słodczy, stale się odchudzając. Nawet na lody udało mu się wyciągnąć ją za ledwie raz. Była ciekawa, dlaczego ludzie tak szaleją

za tą cukiernią przy Starowiślnej, ale cel badawczy zrealizowała za pomocą tylko jednej gałki. Maciej zafundował sobie cztery, żeby zrekompensować straty energetyczne wywołane dwudziestominutowym oczekiwaniem w kolejce. Kwestii jej sylwetki nie poruszał nigdy, poza rytualnymi zaprzeczeniami: "wcale nie jesteś gruba!". Po pięciu miesiącach ciągle żywe było wspomnienie, jak wjechał na minę, chcąc jej powiedzieć coś miłego na początku znajomości. W ogóle nie przyjęła jako komplement filuternego: "najbardziej podoba mi się twoja krągła figura", a rzuciła mu takie spojrzenie, że miał ochotę połknąć z powrotem dopiero wypowiedziane słowa, bo czuł, iż drugie spotkanie będzie ostatnim.

- Jak to jest, że tyle słodczy jesz, a ciągle jesteś szczupły? - myśli Karoliny były echem jego własnych. Schodzili stromą ścieżką do kładki nad Powstańców Śląskich. Na Kopcu i tak nie dałoby się pogadać. Za dużo ludzi.

- Tak naprawdę ograniczam się z wiekiem. Gdy byłem mały, słodziłem nawet coca-colę.

- Nie wierzę!

- Naprawdę. To jedna z anegdot rodzinnych. Cola była wtedy rarytasem, więc dodawałem do niej cukru, żeby jeszcze bardziej uświetnić to rzadkie zdarzenie, kiedy mi ją kupowali.

Prowadził ciągle śmiejącą się dziewczynę na stadion Korony, obok starego fortu i jeszcze starszego, malutkiego kościółka oraz domów wyglądających jak nieduże zamki. To był najurokliwszy i jeden z najbardziej tajemniczych zakątków Krakowa, a w nim - najładniejszy obiekt sportowy miasta. Niestety, mało wykorzystywany i zaniedbany. Zostawili po lewej niski budynek klubowy ze smukłą wieżyczką zaopatrzoną we wskazówkowy zegar, pokazujący dawniej czas meczu. Z jednej strony rozmieszczono kilka boisk, z drugiej, za płotem, opadał w przepaść Park Bednarskiego, ale wyrastające na jego dnie szczyty drzew zagłądały znad krawędzi. Najlepszy był stadion, z kamiennymi trybunami, jak w rzymskim amfiteatrze. Przez kilkanaście lat grała tu Garbarnia, kiedy jej własny obiekt zburzyli pod budowę hotelu "Forum". Może i dzisiaj boisko cieszyłoby się większą popularnością, ale miało nieusuwalną wadę - murawa leżała na litej skale, a bez drenażu woda po deszczu nie spływała. Redaktor Kowalski opowiadał, gdy raz zasiedzieli się po dyżurze, że kiedy w 1989 roku Garbarnia walczyła w barażu o II ligę z Bałtykiem Gdynia, wody na boisku było po kostki. Mecz RFN - Polska we Frankfurcie, w 1974, mógł się schować.

Na trybunie znaleźli bogaty wybór butelek i puszek, ale też spokój i ładny widok.

- No to może ja zacznę. "Złotą Nike" stworzył rzeźbiarz Abel Lafleur, na zlecenie i na koszt Julesa Rimeta, nazywanego pomysłodawcą mistrzostw świata. To jednak największe niedopowiedzenie w historii futbolu. On stanął na głowie, żeby urzeczywistnić swoją ideę. Gowarzewski opisuje sucho, ale bardzo ciekawie, wszystkie perypetie. To były romantyczne czasy. Na przykład kraje uczestniczące w finale pierwszych mistrzostw, w Montevideo, pokłóciły się, czyją piłką zagrają. Rimet znalazł salomonowe...

- Do brzegu. Opowiadaj o "Nike".

- Nazywali ją też "Cup du Monde de Football", a od 1946 roku "Cup Jules Rimet", poza tym "Victory", no i najładniej "Panią Zwycięstwa". Figurka przedstawia Nike z Samotraki, która trzyma na głowie jednak nie wazę, jak nam się wydawało, ale kielich. Chyba jednak trafniej byłoby to określić, że cała figurka jest kielichem. Podstawę zbudowano z niebieskiego kamienia półszlachetnego - lapis lazuli, są na niej wygrawerowane nazwy trofeum i triumfatorzy mistrzostw. Reszta jest ze złota, prawie dwa kilo.

- To ile to może być warte?

- Ile ktoś da. Po cenie materiału - nie tak dużo. Teraz złoto stoi po 400 dolarów za uncję, a uncja to 28 gramów z kawałkiem. Czyli za 1800 gram wyjdzie 25,5 tysiąca dolarów, ze 120 tysięcy złotych. Kawalerka w Krakowie. Nawet tu niedaleko, na Zamojskiego, sprzedają takie.

- 120 tysięcy złotych?! W 1997 roku w domu aukcyjnym Sotheby's sprzedali replikę wykonaną w Anglii 31 lat wcześniej za 250 tysięcy funtów. Replikę! - podniosła palec do góry. - W licytacji cena skoczyła na ćwierć miliona z 30 tysięcy. Statuetka znajduje się w Narodowym Muzeum Piłki Nożnej w Preston. Ale to jest nic. Wyczytałam, że wartość obecnego pucharu, tego World Cup, jest szacowana na 10 milionów dolarów. Tylko nie wiem, na jakiej podstawie.

- Jak mówiłem, wszystko zależy, ile ktoś chciałby za to zapłacić. Na przykład jakiś zwariowany miliarder. To jest i od początku było najbardziej pożądane trofeum świata. W czasie wojny Niemcy polowali na nie w Rzymie.

- Czemu tam?

- Bo Włosi zdobyli tytuł w 1938 roku i mieli przechowywać "Nike" do następnych mistrzostw. Był taki przytomny gość, Ottorin Barassi, wiceprezydent FIFA, który zabrał statuetkę z siedziby włoskiej federacji i przechowywał w pudełku po butach pod łóżkiem. Są dwie wersje: że pod swoim albo - pod łóżkiem teściowej.

- Hihhi. To by tłumaczyło, dlaczego nawet hitlerowcy byli bezradni - ubawiła się Karolina. - Dobra, teraz ja. O tym, że puchar został skradziony w Londynie przed mistrzostwami w 1966 roku, a potem znalazł go facet z pieskiem na spacerze, pewnie słyszałaś?

- Tak, w koszu na śmieci.

- Nie, zapakowany w gazety leżał obok koła parkującego samochodu i dokładnie to pies, Pickles go znalazł, gdy tam siusiał. Potem strasznie go hołubili. Występował w programach telewizyjnych, wybrali go psem roku, dostał za darmo jedzenie od jakiejś firmy, nawet go zapraszali na wycieczki: do Chile, Czech. Zagrał też w filmie "Szpieg z zimnym nosem". A zaczęło się od tego, że temu właścicielowi, Davidowi Corbettowi, oddał go brat, bo Pickles będąc szczeniakiem żuł meble - podekscytowanie Karoli tematem, czy też dzisiejszymi wydarzeniami, skutkowało gorączkowym wyrzucaniem informacji, bez względu na ważność i chronologię.

- Teraz to ty steruj ku głównemu nurtowi, kotku - zrewanżował się. - Najpierw o kradzieży.

- No tak, racja. Dla mnie w ogóle cała ta sprawa nie została wyjaśniona! "Złota Nike" była wystawiona w Methodist Central Hall w Westminster - z malutkiej torebki wyciągnęła mini-kalendarzyk i posiłkowała się notatkami. - Teoretycznie był jeden strażnik przypisany specjalnie do niej, plus pięciu następnych w pobliżu, ale wtedy tamten miał wolne, a ta piątka gdzieś się rozeszła; na kawę, do toalety, i tak dalej. Złodziej lub złodziejka włamali się tylnymi drzwiami, zabrali statuetkę, a kradzież została odkryta dopiero po północy. Policja nic nie znalazła, aż do szefa federacji angielskiej, Joe Mearsa, przyszedł list nadany w klubie Chelsea - chyba wrzucony do skrzynki przy stadionie, nie zrozumiałam tego dokładnie. Ktoś żądał za Nike okupu w wysokości 15 tysięcy funtów w drobnych banknotach. A właśnie, zapomniałam: statuetka była ubezpieczona na dwukrotnie wyższą sumę. Mears na znak zgody miał dać w "Evening News" ogłoszenie o treści: "Chcę robić interesy, Joe". Opublikował to ogłoszenie, jednak tamtego wieczoru miał atak astmy, więc zastąpił go gliniarz. Facet, który zgłosił się po pieniądze, zorientował się, że coś jest nie tak, zaczął uciekać, ale go złapali. Nazywał się Betchley, w czasie wojny walczył w wojskach pancernych w Egipcie, Libii i na Półwyspie Apenińskim, a wtedy był już drobnym złodziejaszkiem, paserem, pracował w warsztacie samochodowym. Zapierał się, że to nie on ukradł puchar, tylko został wynajęty przez jakiegoś Polaka! "Pole" - nie wiadomo, czy to określenie narodowości, czy

pseudonim. Tamten miał mu zapłacić 500 funtów.

- Wiesz co, jeśli on służył w wojskach pancernych w Afryce Północnej i we Włoszech, to musiał znać mnóstwo Polaków, bo Brygada Karpacka, a potem Armia Andersa przeszły cały ten szlak bojowy. I wielu z nich zostało w Anglii po wojnie, bo nie chcieli wracać do komuny. To brzmi logicznie.

- No tak, ale nie musieli go wynajmować, tylko po prostu takie wytłumaczenie łatwiej mu przyszło do głowy. W każdym razie, nie powiedział policji, gdzie jest puchar; znaleźli go Pickles i jego pan. I to by było na tyle, jeśli chodzi o Anglię. Nie uwierzysz, jak dużo materiałów jest na angielskojęzycznych stronach internetowych.

- Wiem, w redakcji od paru lat korzystamy z nich codziennie.

- Nie mówię o gołych babach - jej szelmowski uśmieszek był jeszcze szerszy niż jego. - Znalazłam też długi artykuł o kradzieży w Brazylii, w 1983 roku. I to pisany w ubiegłym roku, przedstawiający późniejsze losy bohaterów. Wtedy właśnie umarł na zawał człowiek, który ponoć był pomysłodawcą całej sprawy, Sergio Peralta.

- Ponoć?

- Poczekaj, zobaczysz. To jest nawet bardziej zawikłane, niż ta afera w Anglii. No i ma sporo podobieństw. W siedzibie Brazylijskiej Federacji Piłkarskiej zamontowano wprawdzie alarm, ale od tygodnia nie działał. Dwaj złodzieje dostali się do budynku w godzinach urzędowania, ukryli się, a kiedy wszyscy go opuścili, wyszli na żer. Był jeden stróż, starszy pan, skrupowali go i owinęli głowę płótnem. "Złota Nike" znajdowała się z gablocie z pancernego szkła, jednak ta gablota przytykała do ściany i od tamtej strony nie była zbrojona, więc po prostu łomem ją odczepili. Ukradli statuetkę i kilka innych pucharów. Wsypał ich niejaki Antonio Setta, którego wcześniej Peralta namawiał na udział w kradzieży, a on odmówił ze względów sentymentalnych. Jego brat umarł na zawał trzynaście lat wcześniej, po finale, kiedy Brazylia zdobyła Nike na własność.

- To jakaś baśń?

- Zobaczymy, co powiesz za chwilę. Policja zgrała Peralte, dwóch rabusiów o ksywach "Broda" i "Wąsy", plus Juana Carlosa Hernandesa, który miał sklep handlujący złotem i urządzenia do przetopu cennych kruszców. Jest Argentyńczykiem, reszta to Brazylijczycy. Przesłuchiwano ich przez kilka dni. Skarżyli się, że wywieziono ich w nieznane miejsce, nie dostawali jedzenia, byli torturowani. A potem... zostali wypuszczeni i na procesie zeznawali z wolnej stopy.

- To chyba dałoby się racjonalnie wytłumaczyć. Policja pewnie podejrzewała, że schowali gdzieś Nike, może mieli jakichś współników, albo kontrahentów i chciała ich obserwować.

- I tak się naobserwowała, że kiedy dopiero w 1988 roku zapadły kilkuletnie wyroki - wszyscy zniknęli! No, ale potem ich połapali. Hernandez jeździł do Francji, oskarżyli go dodatkowo o przemyt narkotyków i chyba siedzi do dzisiaj. Zawsze twierdził, że został wrobiony.

- No cóż, rzeczywiście bardzo dziwna sprawa.

- Bardziej. Najlepsze zostawiłam na koniec. Ten sklep handlu złotem bardzo długo nazywał się po prostu "JC Hernandez". W tym samym roku, kiedy nastąpiła kradzież, zmienił nazwę na "Aurimet". Po portugalsku złoto to "ouro", a przedrostek tworzy się przez au. Pochodzenia słowa Rimet nie muszę ci tłumaczyć...

- Tego w ogóle nie da się sensownie objaśnić. Przecież takie interesy lubią ciszę, a on zwrócił na siebie uwagę.

- Podsumowaniem są zgony ludzi zaangażowanych w obie afery. Często tragiczne. O Peralcie mówiłam, zawał to naturalna rzecz, ale też można go upozorować. "Broda" nigdy nie poszedł do

więzienia, bo w 1989 roku został zastrzelony w barze, a niby ukrywał się i nikt go nie znał. Sette potrafił śmiertelnie samochód, gdy szedł złożyć kolejne zeznania. W Anglii Betchley umarł na rozedmę płuc w 1969 roku, a Mearsa zabiła - według różnych źródeł - astma lub atak serca, już w na koniec czerwca '66. Ale najbardziej przerażające jest to, co stało się z Picklesem.

- Nie przesadzaj, przecież to pies.

- Pies! Ale w życiu nie słyszałam, żeby pies...

Przerwał jej warkot silnika dochodzący z alejki prowadzącej do głównej bramy. Na placyk przed łukiem stadionu pozbawionym trybuny zajechał czerwony ford escort, wyskoczyli z niego facet widziany kilkakrotnie jako kierowca tego samochodu oraz ten, który go śledził w MacDonalddie i szybkim krokiem ruszyli po żuźlowej bieżni w ich kierunku.

Tym razem Maciej był na dobrze rozpoznanym terenie, chodzili tu dawniej na sobotnie lub niedzielne spacerki, bo Podgórze było ulubioną dzielnicą rodziców, pozbawioną tłumów Śródmieścia, czy zaniedbania Kazimierza.

Siedzieli pośrodku trybuny, na górze, więc zbiegli po jej zewnętrznej części. Kiedy tamta dwójka pokazała się na szczycie, oni - wymijając okrągłak służący dawniej małej gastronomii - dotarli do rogu. Tam znajdował się najniezwyklejszy fragment obiektu - kamienne, szerokie schody kończące się w głuszy. Wśród zarośli, śmieci i pozostałości z alkoholowych pikników, ścieżkami wydeptanymi przez bywalców tego terytorium, dotarli do Powstańców Śląskich. Gdy znaleźli się na chodniku, słyszeli już za sobą wyraźne trzaski łamanych gałęzi, więc rzucili się przez sześciopasmową w tym miejscu drogę, po obu jej krańcach i pośrodku forsując trzy półmetrowe płotki. Omal nie był to ich ostatni kiepski pomysł, bo na jezdni w kierunku Huty ledwo, z piskiem opon, wyhamował wściekle trąbiący, ciemny suv. Odważyli się obejrzeć dopiero po drugiej stronie. Okazało się, że goniący jeszcze nie wystartowali za nimi, bo bliższą nitką jechały na południe samochody wypuszczone spod świateł.

Trzeba jak najszybciej zniknąć im z pola widzenia. Gdzie by się tu ukryć? - zastanawiał się gorączkowo Maciek. W głowie pulsowało mu serce.

Zboczem w dół, tory kolejowe, zboczem w górę. Tutaj pociągi pojawiały się kilka razy dziennie.

Nie słyszał pogoni, więc może lepiej byłoby wrócić. Ale mogą czaić się tam, czekając na nich.

Czasem korzystniej jest, kiedy goniący znajdują się blisko i kontrolujesz ich ruchy. Najlepiej wejść na dno kamieniołomu, uznał. Chociaż trochę przerażająco, tym bardziej że zapadał powoli zmierzch. W niektórych miejscach znajdowały się mokradła, a przede wszystkim - Niemcy pochowali tu więźniów, którzy wcześniej w tym miejscu pracowali i nie zdołali uciec. Dzisiaj jednak bardziej bał się żywych.

- Schowamy się w tym kamieniołomie. Jeśli pójdą za nami, to wyjdziemy z niego boczną ścianą, może tego nie znają. A tam będziemy mieli dużo dróg ucieczki. Dobrze?

Pokiwała gorliwie głową. To była wyjątkowa dziewczyna. Dzielna, swoje lęki trzymała w ryzach. A on wstydził się przy niej bać.

Cofnęli się kawałek, bo pamiętał, że wejście prowadzące do kamieniołomu znajduje się tuż za mostkiem na asfaltowej drodze. Kolejne zarośla, potem polana, aż stanęli przed olbrzymimi, pionowymi cylindrami z pordzewiałego metalu, a pod nimi znajdowały się kryte dachami zwężające się ku dołowi konstrukcje umieszczone na palach. Do tego wąskie, stalowe schody w dół. Tam właśnie znajdowały się mokradła, pomiędzy którymi można było znaleźć przejście. On jednak nie zamierzał tego robić. Gdy tata przyprowadził go tu po raz pierwszy, udawali, że są

badaczami opuszczonego miasta, zniszczonego przez wojnę atomową i "odkryli" boczne wyjście. Tylko żeby jakoś dać do zrozumienia tropiącym, że zeszli po schodach.

- Zgubiłam sandałka, drugi mi do niczego niepotrzebny. Możemy go tu zostawić - podsunęła, kiedy podzielił się z nią swoim planem.

- Jak to, zgubiłaś? Teraz o tym mówisz!

- Chyba jak przelaziliśmy przez te płotki, albo na zboczu obok torów. Przy tej adrenalinie nawet nie zauważyłam. Nic ci nie mówiłam, bo i tak przecież byśmy po niego nie wrócili.

- No i co dalej? Nie pójdziesz chyba na bosaka.

- Pójdę, nic się nie stanie, jest ciepło zresztą. Ty pierwszy, jakby coś było na drodze, dasz mi znać.

Westchnął, zszedł do dwóch trzecich długości schodków i ułożył tam sandałka. Noc była dość jasna, powinni go zobaczyć już z góry.

Przy ceglanej budzie bez ściany skierowali się w lewo, przecięli niewielki wąwóz i zagajnik liściastych drzew. Część traktu była utwardzona macewami, żydowskimi płytami nagrobnymi, które złożyli tu Niemcy. Po ciepłym dniu i wieczornym ochłodzeniu w półmroku unosiły się kłębki mgły. Kamieniołom okalały kilkudziesięciometrowe, pionowe skalne ściany, ale tutaj dzięki ziemnym pagórkom można było piąć się coraz wyżej. I coraz bardziej stromo. Na szczęście, przyczepność na ścieżkach zapewniały kamyki i wystające korzenie. Wreszcie dostali się do dróżki ciągnącej się wzdłuż krawędzi urwiska, na skraju cmentarza. Kilkadziesiąt metrów od Kopca, na którym dzisiaj zaczynali. Wydawało się, jakby to było przed tygodniem, kilometry stąd. Karolina usiadła na między koło ścieżki i zaczęła cichutko płakać.

- Co się stało?!

- Wbiłam sobie coś w stopę, boli tak, że nie wytrzymam.

Klęknął przy niej, uniósł delikatnie nogę trzymając ją za kostkę. Rzeczywiście nieco z boku, blisko pięty tkwił spory kawałek szkła. Aż go zemdlilo. Co teraz? Trzeba to wyciągnąć, ale wtedy popłynie krew. Czym ją zatamować? Jak zdezynfekować ranę? Wbrew obiegowym opiniom o torebkach kobiet, Karolina miała w swojej niewiele, a na pewno nic zdatnego do użycia. No cóż, owinie przynajmniej ranę najczystsza rzecz jaką dysponuje. Zdjął luźną koszulę, a potem biały t-shirt, który miał pod nią. Moda raczej z lat 90., ale nigdy się tym nie przejmował, stawiając na wygodę. Koszulę nałożył z powrotem i tym razem zapiął.

- Uważaj, bo zaboli bardziej.

Gwałtownie wyrwał szkło, chlusnęła ciemna ciecz. Kiedy mocno ścisnął stopę t-shirtem, tylko odrzuciła głowę do tyłu, przygryzając dolną wargę.

- Rana jest teraz otwarta, nie możesz stawiać tej nogi, bo będzie mocniej krwawić. Wezmę cię na barana.

- Zwariowałeś?! Nie uniesiesz mnie długo. Wiesz, jaka ciężka jestem - perswadowała półgłosem.

- Ja tego nigdy nie powiedziałem. - W duchu zaklął. To był jej największy problem w tym momencie.

- Miło, że jesteś taki rycerski w każdych okolicznościach, ale nie dasz rady przy mojej masie.

- A może zawołamy tamtych dwóch, żeby rozstrzygnęli nasz spór? Tyle że oni pewnie zważą cię trzymając za nogi i zrzucając z tej ściany głową w dół.

To się nazywa siła argumentów w odwołaniu do argumentu siły. Niósł ją pomiędzy skrzypami, paprociami, pokrzywami, ale po dwustu-trzystu metrach zszedł ze ścieżki widocznej w świetle księżycy pomiędzy dość gęste drzewka. Mieszały się ze sobą woń perfum Karoli obejmującej go za szyję, potu ich obojga, ziół i kwiatów, ale zapominał o wierceniu w nosie, bo mdlały mu ręce.

- Wiesz co, chyba szybciej będziemy się poruszać, jeśli siądziesz mi na barkach. Tylko musisz uważać na gałęzie.

Szło się faktycznie łatwiej, ale prawie nic nie słyszał, bo udami ścisnęła mu uszy. Większe zagrożenie niż pogoń stanowiły teraz nagłe uskoki terenu, z których mogli spaść i połamąć się. Na bezludziu "Konzentrationslager Plaszow", zwłaszcza w tym zagajniku, nie dałoby się liczyć nawet na spacerowiczów z psami.

Zło na masową skalę stawało się nierealne. "W trakcie wojny zginęło kilkadziesiąt milionów", "Tutaj zamordowano pół miliona", "W obozie Płaszów Niemcy przetrzymywali sto pięćdziesiąt tysięcy Żydów, zmuszając ich do katorżniczej pracy, część z nich zamordowali"... Teraz, pod wpływem namacalnego zagrożenia, Maciek poczuł atmosferę tego przerażającego miejsca. Złośliwa podświadomość przyniosła licealne wspomnienie chamskiego brechtu, jakim wybuchnęli, kiedy pani Olszewska powiedziała, że miejsca straceń w Płaszowie nazywały się "Hujowa górka" i "Cipowy dołek". Głupio mu było tym bardziej że przed oczami miał przykrość i zażenowanie, odbijające się wtedy na twarzy młodej historyczki.

Postanowił, że przetnie wertepy na skos, aby dostać się na przystanek autobusowy naprzeciwko tej nowej Castoramy, skąd dojadą na Rondo Matecznego, w pobliże akademika.

III.

Ciekawe, czy Karolcia, która nie cofa się przed niczym, stawi czoła smażonemu boczkowi? Wszak otulony ściętym jajkiem nie będzie wyglądał tak strasznie, jak w tej chwili, gdy skwierczał na mocnym ogniu. Wszystkie przeżycia minionej doby, zarówno przerażające, jak i te całkiem przyjemne, najwyraźniej spłacały się teraz lekką głupawką, w jaką wpadł Maciek przygotowując jajecznicę. Wsypał pokrojoną drobno cebulę, a żółtka i białka zabełtał porządnie w garnuszku, dzięki czemu całość będzie miała jednolity kolor i konsystencję.

Do kuchni weszła dziewczyna z potarganymi włosami, odziana tylko w sięgającą połowy uda, nierówno zapiętą koszulę. Po krótkim "cześć" i nie dłuższym spojrzeniu zlekceważyła go zupełnie. Obcy facet w akademiku nie był niczym osobliwym.

Ruszył z patelnią do sąsiedniego "składu". Tak w Bursie Jagiellońskiej nazywano mieszkania z klasycznego gomułkowskiego bloku. W środkowym, poza dwoma pokojami i łazienką, była wspólna dla całego piętra kuchnia, w dwóch skrzydłowych - po cztery pokoje i jednej łazience. Pokoje... To, co tutaj nazywano "małą jedyką" w więzieniu nie mogłoby służyć za celę ze względów humanitarnych. Za to oni mieli do dyspozycji apartament - Karola mieszkała w pokoju trzyosobowym, a obie jej współspaczki wyjechały do domów na Boże Ciało. Ciasnota pomieszczenia nie była największym problemem, jak opowiadała mu z humorem, kiedy zmieniał jej rano opatrunek. Na jedną łazienkę przypadało siedem osób plus "waleci", wskutek czego wieczorem, zwłaszcza kiedy dziewczyny zaczęły myć i suszyć włosy, trudno było choćby się wysuszyć. Widząc go z jedzeniem pokuśtykała do stołu. Na nodze miała schludny kawałek gazy, przymocowany plastrami. Pierwszy założył jeszcze w nocy, gdy - już bez przygód od momentu dojścia do ulicy Kamińskiego - dotarli do Bursy. Zdezynfekował ranę dokładnie, a dla pewności niedawno zrobił to ponownie, ale chyba nic już jej nie groziło: przecięcie było równe i stosunkowo niewielkie, nie powinno wdać się zakażenie.

Karola w szampańskim humorze zwracała się do niego per "mój mężu". Łyżeczką od herbaty sprzątała z talerza jajecznicę jak leci. W pierwszej klasie podstawówki podkochał się, jak większość chłopców, w Natalii, ciągle uśmiechniętej blondyneczce o wyglądzie aniołka. Kiedyś

pani wysłała ich razem do sklepu, a on z dudniącym sercem szedł, trzymając za rękę swoją pierwszą miłość. Dzisiaj był tak samo szczęśliwy jak tamtego dnia, dwadzieścia lat temu.

- Obawiam się, że nie spędzimy całego dnia jak przykładne małżeństwo. Muszę jechać do redakcji, przypilnować, czy coś nie dzieje się w Wiśle, no i napisać tekst o typach tutejszych piłkarzy i trenerów na Euro. - Kiedy zdarzało się święto w trakcie tygodnia, on miał wolny dzień je poprzedzający, gdyż gazeta nie ukazywała się następnego. Natomiast w samo święto musiał pracować. W normalnym tygodniu to tak nie działało; często byli pod parą siedem dni na okrągło, bo w sobotę zwykle obsługiwali mecze, z których wieczorem trzeba było przygotować materiały. Teoretycznie powinien być za to po niedzieli dzień wolny, ale to nie u Gromka z jego zdolnościami organizacyjnymi. Zdarzało się, że siedzieli w piątkę w redakcji i każdy ścibolił jakiś drobiazg, a w sumie roboty byłoby za mało na dwóch.

- To się dobrze składa, bo w poniedziałek mam najgorszy egzamin na pierwszym roku. Między innymi dlatego nie pojechałam do domu. Nic bym się tam nie pouczyła, jakby mnie cała rodzina po kolei chciała oglądać na urodziny. Tylko wczoraj przed południem zrobiłam coś konkretnego, więc dzisiaj podciągnę sporo. A jak wrócisz, pójdziemy do kościółka na górce.

Najpierw do domu, po samochód. W tej sytuacji lepiej nie jeździć tramwajami, autobusami i jak najmniej chodzić na piechotę. Mazda była już nastolatką, miała wcześniej dwóch właścicieli - także dziennikarzy, którzy nabili strasznie licznik - ale mimo dwustu tysięcy przebiegu, silnik działał bez zarzutu. Zaczął się zastanawiać czy nie jest śledzony, bo przez całą Piastowską, Królowej Jadwigi i Kościuszki sunął za nim grafitowy merc, jednak nie skręcił za nim na most. Teraz za plecami miał czarne bmw. Zgubił podejrzenia, uspokajał go brak czerwonego forda. Przemknęła mu przez głowę wątpliwość, dlaczego właściwie tak panicznie uciekali wczoraj przed tamtą dwójką, ale ją też porzucił.

W redakcji czekała go niezbyt przyjemna niespodzianka. Choć prawie wszyscy się cieszyli, bo Wisła ogłosiła pozyskanie lewoskrzydłowego, Rafała Marciniaka. Wkurzające jak diabli. Przez całą wiosnę maglowali ten transfer, jako pierwsi napisali o zainteresowaniu klubu "Marcinkiem", a teraz przegapili finalizację sprawy. Jak zresztą wszyscy. Sezon się skończył, nie było zajęć, podczas których po kilku dziennikarzy zawsze kręciło się przy stadionie i boisku treningowym. W ten sposób różne rzeczy można było zobaczyć, usłyszeć pokątnie, albo po prostu podsłuchać. Wieść o transferze Skibickiego nadał im na przykład zajmujący się sprzętem pan Mietek, który dostał polecenie przygotowania koszulki z jego nazwiskiem i numerem 39. Teraz o Marciniaku jako pierwsza poinformowała strona internetowa klubu, co było nie dość, że irytujące, to jeszcze komiczne, gdyż rzecznik był tak inercyjny, że nigdy nie zależało mu na opublikowaniu czegokolwiek świeżego, ekskluzywnego ("Sam byłem dziennikarzem, ale nie rozumiem tej waszej pogoni za newsem" - mówił, nadymając się). On nie gonił za niczym; poprzedni tekst na stronie nosił tytuł: "Mamy mistrza!".

Godziny zeszyły mu na ściganiu "Marcinka", do którego dzwonili wszyscy, więc profilaktycznie nie odbierał telefonu od nikogo. Udało się złapać go dopiero po sms-ie wyjaśniającym, do jakiej gazety chce wywiad - aura "Kroniki Sportowej" ciągle działała na większość piłkarzy. Do tego potrzebne były wypowiedzi kogoś z Wisły, ale tu poszło łatwo, bo nowy prezes, Bolesław Paczkowski pracował dawniej w służbie dyplomatycznej i był uroczym gadułą.

- Przy najbliższej okazji zapraszam koniecznie na kawę - usłyszał Maciek dobrze znaną frazę. Gdyby wypił wszystkie kawy, na które tamten już go zaprosił, zszedłby na nadciśnienie.

Po załatwieniu Marciniaka musiał odbębnić jeszcze komentarze na temat Euro. Wrócił do Bursy przed 18. Karoliny nie było.

Kiedy nikt nie odpowiedział na pukanie, jeszcze się nie zdziwił. Może śpi. Nacisnął klamkę. W środku pusto, wyszedł nawet na balkon, na którym nie dałoby się schować. Poniżej, przy zamkniętej kolekturze totka, trzy nastolatki opowiadały sobie wrażenia z wczorajszego wyjazdu na podmiejską dyskotekę, pomiędzy przekleństwa wstawiając takie słowa, jak: "kosmos, Dzizas, bryka, kiecka, browar, muza". Zobaczyły, że stoi na czwartym piętrze, zadarły głowy i gapiły się na niego bezczelnie. Cofnął się do pokoju. Karola nie miała komórki, nie mógł zadzwonić. Nie było jednak powodu do paniki, może jest w łazience, może w kuchni, może poszła do koleżanki, może do kościoła, zniecierpliwiona jego nieobecnością. Tyle że miała na nodze opatrunek - lekko przymocowany i nie zachęcający do dalekich wypraw.

Z pozostałych drzwi w składzie otwarte były tylko do łazienki, jednak nikt nie siedział w ciemnym pomieszczeniu. Ruszył do kuchni - pusto, pokoje obok - pozamykane. Dopiero w sąsiednim składzie otworzyła mu spotkana przed południem dziewczyna, jeszcze bardziej rozczochrana, niż wtedy.

- O, cześć - uśmiechnęła się lekko.

- Szukam Karoliny, nie widziałaś jej?

- Nie, zaczęłam się uczyć i przysnęłam po południu. Właściwie dzisiaj w ogóle jej nie widziałam, tylko ciebie.

- A nikogo podejrzanego? Jakichś obcych facetów?

- Stary, to jest akademik. Tu kręci się pełno obcych facetów, często pijanych. Ale to po prostu studenci.

- Wiesz może o której jest msza na górze, u Redemptorystów?

- Sorry, nie chodzę.

Beznadziejna sprawa. Obrócił się na pięcie i poszedł do pokoju. Jak Harrison Ford we "Franticu", pomyślał siadając ciężko na łóżku. Tyle że dr Walker miał przynajmniej punkt zaczepienia, cudzą walizkę, a tu nic. Poza tym poszedł tylko pod prysznic, a ty zostawiłeś ją samą na pół dnia - odezwały się wyrzuty sumienia.

Na portierni siedział ten sam Henio, co przed sześcioma laty, kumpel od kieliszka tamtego zombie. Przy święcie znieczulił się wcześniej i na pytanie, czy nie widział może wychodzącej Karoliny zareagował tylko rozlanym szeroko, bezmyślnym uśmiechem. Maciek wypadł z akademika, wśród zapachów z "chińczyka" na rogu przebiegł na drugą stronę Kalwaryjskiej i wspiął się po kamiennych schodach. Na tablicy przed kościołem zobaczył jednak, że msza zacznie się dopiero za kwadrans, zbierały się starsze panie, które nie czuły się na siłach przejść przedpołudniowej procesji. W środku uklęknął, przeżegnał się i z uczuciem, że zaczyna zachowywać się coraz bardziej desperacko, obszedł wszystkie trzy nawy, aż po ołtarz. Nic.

Gdy doczłapał z opuszczoną głową na czwarte piętro, z kuchni wyszła mu naprzeciw tamta dziewczyna. "Rozczochrana", jak ją nazwał, choć teraz włosy miała uformowane w ładny, zabawny kok, z kosmykami drgającymi na szczycie, jak liście palmy.

- Cześć, myślałam o tobie. Kiedy spałam po południu, w pewnym momencie obudził mnie podniesiony męski głos. I chyba jakaś szamotanina. Ale nie jestem pewna, bo zaraz przysnęłam znowu. Kurcze, nigdy nie robię się tak senna, jak wtedy, gdy mam się uczyć. I nigdy nie opanowuje mnie taka mania czystości. Właśnie wypucowałam wszystkie garnki, talerze, kubki, sztućce.

Dogrzebałam się nawet do takich, co stały od Wielkanocy, nie na darmo studiuję geologię, hehe. No to niezła syfiara jesteś - tego też nie powiedział głośno. Poprosił, żeby pomogła mu popytać okolicznych mieszkańców, czy również czegoś nie słyszeli. Niestety, nad nimi był już tylko dach, a na trzecim piętrze jeden skład - położony bezpośrednio pod tym, w którym mieszkała Karola - był zupełnie wyłączony, jeśli chodzi o wrażenia dźwiękowe. Lokator większej "jedynki" pałował ciężkim metalem, w którym Maciek rozpoznał Judas Priest. Na ich pytania rozłożył tylko ręce. Koncert trwał od popołudnia. Z małej "jedynki" wychynął chłopak, kiedy już odchodzili, zniechęceni długim, bezskutecznym pukaniem. Jak wyjaśnił, nosi stale zatyczki w uszach, żeby odgrodzić się od jazgotu produkowanego u sąsiada, który "Judasów" zaserwował im przy święcie, a na co dzień urządza przeglądy norweskiej sceny blackmetalowej sprzed dekady, kiedy była ona najpłodniejsza. W składzie "kuchennym" nie zastali nikogo, a w trzecim znaleźli wprawdzie dwie dziewczyny, ale uśmiechały się tylko przepraszająco. Były tak pochłonięte nauką, że nie zwracały uwagi nawet na odbywający się na piętrze koncert.

- To największe kujonki na klatce schodowej - zjadliwie skomentowała Sandra (tak brzmiało imię rozczochranej). Stwierdziła, że nie ma się co przejmować stanem nieważkości Henia, gdyż i tak nie musiał widzieć porwanej Karoliny. Na drugiej ścianie bloku są przecież drzwi do tradycyjnych klatek schodowych. Niby zamknięte, ale już pół akademika dorobiło sobie klucze. Zresztą przestępcy nie mają na pewno problemów z otwarciem zamków yale. Wypowiedziała jego ciche obawy, więc Maciek uznał, że pozostało mu tylko pójść na policję.

Wcześniej zastanawiał się, czy nie skontaktować się z Jesionkiem, ale aż go podrzucało, gdy pomyślał o tym podstępny sukinsynu. Poza tym on zawsze był jakiś niepokumany. Nie rozwikła tej sprawy gość, który miał problemy ze zrozumieniem, co to jest test wielokrotnego wyboru (koniecznie chciał wiedzieć, ile odpowiedzi ma zakreślić), który w efekcie przegranego zakładu wszamał kanapkę z żelem do włosów, którego wypuszczali, że na idealnej randce powinien zaprosić dziewczynę na kompot z bobu i smalcowe lody.

Przy Zamojskiego jest przecież komisariat. Wyszedł ze Śliskiej, a na Kalwaryjskiej akurat pokazała się "dziesiątka". Jako że dogonił ją sprintem na przystanku i zaoszczędził czas podjeżdżając pod Koronę, uznał, że przynajmniej odrobinę zaczęło mu dzisiaj dopisywać szczęście. Kiedy w bocznej uliczce pod Pizza Hut zobaczył czerwonego escorta, nie wiedział, czy sprzyja mu dalej, czy wrócił pech.

Schował się za rogiem kiosku stojącego przy hali i wpatrywał się w okna wychodzące na Warneńczyka. Tutaj nie było żadnego z widywanych dotąd typów. Przeszedł ostrożnie na chodnik za rogiem i zaglądając do środka z tej perspektywy, przez szerokość uliczki, zobaczył przy stoliku w głębi tę parę, która wczoraj przyjechała na stadion. Jedli chyba kawałki kurczaka, bo w jednym lokalu z pizzerią funkcjonowało KFC. Przecież to nie przypadek, że cały czas tu się kręca, myślał z wściekłością. Wczoraj ich zaatakowali, a dzisiaj pewnie wrócili i dokończyli robotę. Tylko gdzie ją trzymają? Tknięty nagłym impulsem pobiegł w kierunku Zamojskiego. Z hukiem drzwi wdarł się na komendę. Niebieskie lamperie prowadzące do niebieskich, metalowych drzwi. Przed nimi, po prawej, okienko. Po spojrzeniu siedzącej w nim policjantki w średnim wieku, która podniosła głowę słysząc hałas, zorientował się, że dobrego wrażenia na wejściu nie zrobił.

- Dzień dobry! To znaczy, już dobry wieczór. Chciałbym zgłosić przestępstwo. Prosić o interwencję w prawie przestępstwa. Żeby schwytać przestępców! - nerwowo i bezładnie wyrzucał z siebie zdania.

- Proszę się uspokoić i powiedzieć, o co dokładnie panu chodzi - napłynął beznamiętny głos zza szyby.
- Właśnie mówię: o przestępstwo! A przestępcy siedzą właśnie sto metrów stąd i jedzą skrzydełka z kurczaka.
- Proszę pana, to jest komisariat policji, a pan sobie żarty stroi?
- Nie żartuję! Została porwana moja dziewczyna, a porywacze siedzą w Pizza Hut! Dlaczego nie chcecie mi pomóc!?
- Proszę nie krzyczeć. Kto został porwany? Kiedy i gdzie to się stało? Był pan świadkiem?
- Moja dziewczyna, Karolina, została porwana z Bursy Jagiellońskiej, tego akademika przy Śliskiej. To stało się dzisiaj po południu. Nikt tego nie widział.
- Skąd pan wie w takim razie, że została porwana?
- Przecież ludzie nie znikają bez powodu! A tu są ci porywacze. Wczoraj, gdy siedzieliśmy tu na górze, na stadionie Korony, przyjechali czerwonym fordem, ale uciekliśmy.
- Zaatakowali was?
- Nie, uciekliśmy od razu. Ale już od dawna nas prześladowali, to znaczy częściej mnie.
- W jaki sposób?
- No, ciągle ich widziałem w pobliżu. Albo ten ich samochód.
- Proszę pana, czy pan pił alkohol? Zażywał pan narkotyki? Substancje psychoaktywne?
- Co pani sobie wyobraża!?! Ja tu przyszedłem po pomoc, a pani do mnie z takimi podejrzeniami!
- Proszę natychmiast opuścić komisariat, albo zostanie pan zatrzymany za zakłócanie porządku. I zaczniemy od testów na obecność narkotyków.

Jej podejrzenia z pewnością potwierdziły się, gdy dziko wyskoczył z budynku i pobiegł w kierunku Warneńczyka. Był w takim stanie, że chciał tylko dopaść tych dwóch skurwysynów i rzucić się na nich. Wydusiłby z nich, gdzie trzymają Karolę! Pod Pizza Hut nie stał już jednak czerwony ford. W lokalu, nawet w kiblach, które sprawdził budząc ciekawość klientów, nie znalazł też tamtych dwóch facetów.

Zapał zmierzch, gdy Kalwaryjską włókł się do Bursy. Przyspieszył trochę, skręcając w Śliską, bo znowu zaświtała mu nadzieja, że jeśli Karolina gdzieś wyszła, to powinna wrócić. Okno było jednak ciemne, a pokój wyglądał tak, jak go zostawił. Usiadł na łóżku, postanawiając, że będzie czekał na nią do rana. A jeśli to jakiś psychopata ją porwał? Był w Bursie, więc od razu przypomniał mu się Sasza, a w ciągu skojarzeń - ta kobieca skóra wyłowiona z Wisły parę lat temu. Nawet podejrzewali go również o tamto morderstwo, ale okazało się, że to nie on. I do dzisiaj nie dowiedzieli się, kto.

IV.

Obudziło go słońce. U sufitu ciągle świeciła się żarówka, zasłony pozostały niezasunięte. Zegar w komórce pokazywał za dziesięć szóstą rano. Nawet nie wiedział, kiedy usnął. Przez moment czuł się dobrze i swobodnie, bo mózg wypoczął w trakcie kilku godzin snu, ale zaraz spadła na niego rzeczywistość; wspomnienie wczorajszych zdarzeń i świadomość, że dzisiaj nie pozostały już żadne złudzenia. Skoro nie wróciła do tej pory, to coś musiało się stać. Zaczął szukać kawy. Karolina jej nie piła, twierdziła że ma za wysokie ciśnienie. Bez skrupułów myszkował po szafkach jej koleżanek, znalazł rozpuszczalną w zwykłym, zakręconym słoiku.

Wyszedł z kubkiem na balkon. Ściana apartamentowca, kawałek Śliskiej, odrapany mur i ogrodzenie z siatki, pomiędzy nimi szlaban. Tam chyba jest parking. A może by popytać ciecia,

może jeszcze innych ludzi, którzy tu w okolicach pracują, czy czegoś nie widzieli? Wczoraj było Boże Ciało, ale parking musiał ktoś obsługiwać, może gdzieś tu jeszcze jest jakiś spożywczy. Dopił dwa ostatnie, duże łyki i zbiegł po schodach. Była zmiana portierów i w kantorku siedziała Hanka, jego prześladowczyni z czasów beztroski i zabawy. Wyjść będzie mógł, ale z powrotem tu nie wejdzie, bo Karolina nie wprowadzi go jako gościa, jak wcześniej. Że też w kryminałach bohaterowie nigdy natykają się na takie przeszkody. Nie dostają rozwolnienia, nie łapie ich kanar w tramwaju, nie gubią klucza do samochodu, nie grzęzną w wielogodzinnej kolejce u lekarza, nie dzwonią do nich nagle z pracy, żeby wrócili i wykonali jakieś nadprogramowe, w ostatniej chwili wynikłe zadania. O nadgorliwej portierce w akademiku nie mówmy, bo to nazbyt już absurdalne. Niestety, zewnętrzne drzwi od pierwszej klatki też były zamknięte. Pomiędzy kłatkami przechodziło się piwnicą; żadne z tylnych drzwi, które normalnie służyłyby za frontowe, nie były otwarte. O tej porze próżno szukać dorabianych kluczy do nich. Wszyscy spali. Przygnębiony Maciek stał oparty czołem o szybę. Po chwili zdał sobie sprawę, że lekko, rytmicznie uderza głową w szkło. Musi się opanować, świrując na pewno niczego zdoła. Najlepszy dowód miał wczoraj na policji.

Pomiędzy gałęziami, na niedużym balkonie u szczytu bloku naprzeciwko, zobaczył jakąś dziwną postać wpatrującą się w niego. Nie, nie była dziwna, po prostu ubrana staromodnie: babcia w chustce na głowie, większej chuście narzuconej na ramiona i szerokiej spódnicy.

- Hanko, o tobie marzę wśród bezsennych nocy. Hanko, ja bez ciebie nie potrafię żyć - dobiegł go melodyjny śpiew z piwnicy.

- Hanko, twe ciało słodko pręży się, przegina. Hanko, daj usta, niech przeminie ból i żal. - Ten był mniej wprawny, ale pierwszy głos odpowiedział mu entuzjastycznie:

- O to, to. To ostatnie zdanie trzeba jej było zaśpiewać, może nie musiałybyś szukać kenkarty.

Ewidentnie, wracali po długiej balandze, ale stwarzali jakąś nadzieję na pomoc, kiedy dookoła wszyscy śpią. Zwłaszcza że najwyraźniej mieli jakieś przejścia z naszą przemiłą portierką.

- Witaj zbłąkany wędrowcze. Coś smutny jesteś. Szkoda, że wypiliśmy po drodze tę ostatnią butelczynę, bo byłaby jak znalazł, żeby cię rozweselić. - Zmarnowani, znaleźli też gdzieś błoto, w którym utyłali dzinsy, ale nie byli zbyt mocno trafieni.

- Wasza muza, Hanka stoi mi na drodze do szczęścia. Jak można stąd wyjść i wejść tak, żeby nie patrzeć jej w oczy?

- To akurat jest proste. Mamy taki czarodziejski kluczyk do drzwi w szóstej klatce. Przez roztargnienie nie wzięliśmy go dzisiaj i trzeba było z rańca całować się z Hanką.

- Wsparlibyście mnie tym kluczem? Dorobię i oddam.

- Spoko, tylko musisz pójść z nami po niego, bo dwa razy na trzecie piętro raczej nie dam rady wleźć.

Kilka kondygnacji, dwie zwrotki piosenki o Apaszu, synu warszawskiej ulicy i jego ukochanej Hance, trzy próby sforsowania drzwi od pokoju i wszedł w posiadanie upragnionego klucza.

- Wielkie dzięki. Jeszcze przed południem postaram się go odnieść.

- Nie musisz się śpieszyć. Idziemy w kimę, a potem priorytetem będzie ręczne usunięcie elementu alkoholowego z homeostazy.

- Jak się domyślasz, kolega Łukasz studiuje biologię - rzucił ten drugi z błazeńską miną.

- Możesz nie wiedzieć, ale kolega Michał studiuje prawo, a poza tym jest z przekonania socjalistą, więc ma dwa tytuły do wybitnego targania wódy.

Słuchając tych dowcipasów patrzył przez okno. Teraz balkon ze staruszką był trochę powyżej.

- Kim jest ta kobieta?

- Pani Babcia Sąsiadka? Tak ją nazywamy. Trudno powiedzieć, pojawiła się jakoś na wiosnę. A może dopiero na wiosnę, gdy się ociepliło, zaczęli ją wypuszczać na balkon. Mamy teorię, że rodzina ją wzięła do siebie pod opiekę. Tyle że biedna starowinka wygląda jakby ją wyrwali z korzeniami. Codziennie, od wczesnego ranka do późnego popołudnia siedzi tam i obserwuje, co dzieje się na ulicy i w akademiku. - Do Maćka nawet nie dotarło, że ci niefrasobliwi imprezowicze mają w sobie sporo empatii. Zelektryzowała go informacja, że kobieta śledzi ruch przed jej balkonem. Pośpiesznie życzył im dobrej nocy i popędził, skacząc po kilka stopni.

Uznał, że mieszkanie tamtej kobiety musi znajdować się na drugiej klatce od prawej. Na domofonie było 15 przycisków, co daje po trzy mieszkania na kondygnację. Tym z czwartego piętra będą odpowiadały numery 43, 44 i 45. Tylko czy są liczone od lewej czy od prawej. I czy mieszkanie staruszki jest po prawej stronie, czy pośrodku? Trzeba, próbować. Wcisnął 39.

- Słucham - młody, kobiecy głos.

- Dzień dobry, nazywam się Maciej Porzyński i chciałbym porozmawiać z panią siedzącą na balkonie. Chodzi o ważną sprawę, której mogła być świadkiem.

- Zapraszam! Już otwieram!

O co tu chodzi, zastanawiał się Maciek. Wyraźnie się ucieszyła. Uśmiechnięta brunetka mniej więcej w jego wieku otworzyła drzwi.

- Fajnie, że chce pan posiedzieć z babcią. Ona się czuje trochę samotna, rzadko może porozmawiać z kimś spoza rodziny. - Szedł za nią nieco ogłupiały. Gdy już znaleźli się na balkonie, jego towarzyszka dokonała zaskakującej prezentacji: - Babciu, to jest pan Maciej, który cię odwiedził. Zostawię was, kochani, pogadajcie sobie spokojnie, a ja wyskoczę do sklepu.

Poznał historię wielopokoleniowej rodziny osiemdziesięcioletniej pani Marii, której - jak się zwierzyła - nie niosły już nogi, ale umysł i pamięć ciągle dopisywały. Dołożyła dzieje Lanckorony, za jej czasów, ze szczególnym uhonorowaniem szczęśliwych bądź tragicznych wydarzeń z egzystencji mieszkańców wioski. Dwukrotnie usiłował skierować jej uwagę na akademik i Karolinę, prawie od razu skręcała do miejscowości, w której spędziła całe życie. Rozumiał, że musi pozwolić się jej wygadać. Poza tym, że trochę się niecierpliwił, słuchał bez przykrości. Zawsze był ciekawski, a jak głośiła jedna z rodzinnych anegdotek (sam już tego nie pamiętał), jego własna babcia miała powiedzieć do czterolatka: "Maciusiu, tobie by trzeba człowieka, który nie miałby żadnego zajęcia, tylko przez cały dzień odpowiadał na twoje pytania".

- Widziała pani może wczoraj po południu tę dziewczynę? - podał jej zdjęcie Karoliny, które nosił od wczoraj.

- Dyć, znam tę panienkę - zorientował się, że ona nazywa panienką każdą kobietę niezamężną, ale zdolną wyjść za mąż.

- A widziała ją pani wczoraj?

- Widziała. Wychodziła tutaj, z jakimiś dwoma panami - pokazała na drzwi pierwszej klatki. - Kulawiła. Wsiedli do taksówki i pojechali.

- Z jakimi panami!? - czuł narastające zdenerwowanie.

- Takie wielkie chłopy. Wielgachne - demonstrowała szeroko rozpostartymi rękami. - Ale eleganckie, w czarnych marynarach i białych koszulach. Tu ugolone, a tu mieli postawione włosy. - Zorientował się, że opisuje klocków, przybocznych Pokutalskiego.

- Do jakiej taksówki wsiedli? Widziała pani może numer, jaka to firma, jakieś napisy?

- Nie widziała. Czarna taksówka. Duża. Ten mercedes pewnikiem.

- I ta dziewczyna wsiadła z nimi?

- Coś nie chciała, ale trzymali ją tutaj i pociągęli.

- O której godzinie to było?

- Nie patrzała na zegarek, ale niedługo mnie zawołali na Teleexpress.

Czyli między czwartą a piątą. Zaczął dziękować starszej pani i przygotowywać się do odwrotu.

- Dziękuję za nawiedzenie! - odparła wyraźnie ożywiona.

Tyle że kiedy znalazł się w mieszkaniu, nie było w nim nikogo. Zostawili babcię samą z zupełnie obcym człowiekiem?! Na szczęście po chwili rozległ się zgrzyt klucza w zamku i pojawiła się tamta brunetka.

- Już pan się zbiera? - wyraźnie zabrzmiał nutka żalu. - Może wpadnie pan jeszcze kiedyś? Babcia na pewno się ucieszy.

- Postaram się. Teraz naprawdę muszę uciekać. Znaleźć kogoś. Mam pewien drobny kłopot. Babcia mówiła o ludziach którzy odjechali taksówką, ale z opisu wynika, że to nie była taksówka.

- Babcia na każdy samochód mówi "taksówka". Wie pan, dawniej na wsi było bardzo mało samochodów, a najczęściej przyjeżdżały właśnie taksówki. Tak mi to tata tłumaczył.

Czyli to ten alfons ją porwał! Ten knur! - Maciek powtarzał sobie, że musi się uspokoić, bo inaczej wpadnie w ciąg chaotycznych, gorączkowych poczynań, jak wczoraj.

Gdzie ją mogą trzymać? W tym burdelu na Kazimierzu? Mało prawdopodobne, tam przewija się wielu obcych ludzi. Na pewno mają jakąś bazę. Mimo to dobrze byłoby zacząć sprawdzanie od agencji. Nie był, niestety, Jamesem Bondem, który wszędzie wchodził w garniturze, frontowymi drzwiami. On najprawdopodobniej dostanie w klupak już na progu. Zwrócić się do Henia Ogrodnika? Maciek czuł, że za tą uprzejmością i ogładą kryje się zimny, bezwzględny skurwiel. Interesy, w które się angażował, też o tym świadczyły. Zaraz, a może Ala? Jakaś tam nić sympatii się zawiązała, zresztą ona może z nim współpracować choćby dla zgrywy. Jak ją złapać? Co ona mówiła o tej politologii?

Maciek przewijał sobie na podglądzie zapis spotkania ze ślicznotką z błyszczącymi oczami. Rzuciła jakiś bon mot i powiedziała, że to nie jej, ale kolegów ze studiów, którzy są bardzo dowcipni.

Namawiała go, żeby zajrzał na ich forum dyskusyjne.

W akademiku odpalił służbowego laptopa. Połączy się z netem przez komórkę. Trochę kasy to zeżre, ale firma bogata, zapłaci. Rachunki były praktycznie poza kontrolą, zwłaszcza że często jeździli za granicę, więc wszystko kryło się w wysokich wydatkach nabitych korzystaniem z telefonu w roamingu. Poza tym nikomu nie chciało się tego sprawdzać.

Przez wyszukiwarkę znalazł jakieś forum opisane "Politologia, Uniwersytet Jagielloński", oparte na uniwersalnej, niebieskiej makiecie. Widział już kilka podobnych, prowadzonych przez kibiców klubów pierwszoligowych, wiedział jak się po tym poruszać. Szybko się zarejestrował, dostał potwierdzenie na maila, dzięki czemu mógł się logować i miał dostęp do wszystkich postów, a także do listy użytkowników, z którymi mógł korespondować za pomocą prywatnych wiadomości. Mosze Bergstein, Człowiek Łoś, Gróby, Hypatia, Mary\$, Orzeł. Ala raczej nie kryła się za żadnym z tych nicków. Po przejrzaniu wszystkich znalazł cztery, które wydawały mu się prawdopodobne: Alicja, Alicia, Ala i Alisha, na którą stawiał, po trochu z przeczucia, po trochu z dedukcji. Musiało to być związane z imieniem, ale i uduziwnione, a to ostatnie przypominało pseudonimy gwiazd porno.

Napisał do wszystkich: *Cześć, z tej strony Maciek Porzyński, dziennikarz "Kroniki Sportowej". Czy to z Tobą poznaliśmy się trzy tygodnie temu w "klubie" na Kazimierzu? Chciałbym jeszcze pogadać. Pozdro.*

Czekając, aż któraś się odezwie, chcąc zagłuszyć targającą nim niepewność, przeglądał forum. Szybko porzucił opinie na temat prowadzących zajęcia i egzaminów, poszedł do Hyde Parku. *Zero umiejętności mówienia komplementów, szczególnie kobietom. Planowany przez niego temat pracy magisterskiej to: "Jak zagadać do dziewczyny, a potem jeszcze ją dogonić". Do klasyki przeszły już teksty: "masz nogi jak kasztanka komendanta", "jesteś takim zasuszonym winogronkiem" (zamiast: jesteś rodzyńkiem), czy "policzki masz czerwone, jak krwisty befszytk"... Aż dziw, że jeszcze żyje - w dziale poświęconym sztuce podrywu z kumpla nabijał się I Sekretarz. Najobszerniej komentowany temat, poza wejściem Polski do Unii Europejskiej, dotyczył oczywiście imprez. *Najlepsze do najepek jest disco polo. Niby nikt nie słucha, a każdy zna. I lepsza jest, kurwa, taka muzyka, niż przyjmowanie kolejnych gównianych mód z zachodu. Pop w wykonaniu dziwek, gangsta raperzy-milionerzy, zbuntowani rockmani z siedmiocyfrowymi kontraktami. Podziękował!**

Twoja stara wisi pięć zeta Mojżeszowi. Disco polo nadawało się do najepek na weselu w peerelu. Teraz rządzi hip hop. Niezły konkret, 100 procent pankroka.

Armagedon znad Słowacji przesuwa się na północ. Przelotne deszcze ognia w Krakowie. Na Górnym Śląsku nierządnicą na bestii. W podkarpackim trupi chłód. Już jutro Kraków spłonie wraz z wodą w Wiśle - to była zapowiedź melanżu. Maciek przez pokręcony ciąg skojarzeń zaczął się zastanawiać, co właściwie może przeciwstawić Pokutalskiemu i jego gwardii, kiedy (jeśli) dowie się, gdzie trzymają Karolinę. Przydałaby się jakaś broń. Sześć lat temu, zaczynając w "Rekordzie" robił tekst o bilardzie, a właściwie o jego odmianie, w którą już prawie nikt nie grał - karambolu. Wysłali go, żeby napisał krótką informację, co to właściwie jest i przedstawił chłopaka, który został wtedy mistrzem Polski. Tymczasem urodził się świetny reportaż. Sam mistrz mówił ciekawie, ale przebił go starszy pan, kierownik sekcji bilarda Nadwiślana Kraków. Ćmiąc papierosy i przerywając sobie cichym chichotem opowiadał, jak grał z Adolfem Dymszą, a kibicowała im Kalina Jędrusik ("Doluś, ale cię ten chłopak wyrpał! Jak kotkę w sieni!"). Jak wędrowali po mieście z 400-kilogramowymi stołami, bo przeganiano ich zewsząd jako burżujów. Jak podgrzewali stół gromnicami wstawionymi do skrzynek owocówek, żeby osuszyć zawilgocone sukno. Jak milicja i Związek Walki Młodych wyrzucały ich w 1949 r. z YMCY przy Krowoderskiej. Kawał barwnej historii Krakowa w XX wieku. Piotr Skrzynecki, który otwierał Piwnicę po sąsiedzku z ich klubem, hrabia Sobański, bracia Janiccy, czyli szlifierze diamentów i aktorzy teatru "Cricot 2" Kantora, hrabia Mycielski, Marian Cebulski. Bardziej widzem, niż trzecim bohaterem (choć załapał się na zdjęcie i parę zacytowanych zdań) był siedemnastoletni chłopak, Mariusz. Takie dziecko Kazimierza, który zanim zaczęli kolonizować go turyści i białe kołnierzyki, był krakowską wylegarnią i siedliskiem elementu. Mańka szczerze zafascynował kontakt z prasą i własna obecność w artykule. Od tamtej pory darzył Maćka niewymuszoną sympatią. Nie nachalnie, ale regularnie dzwonił z propozycjami lekcji snookera w klubie, gdzie wkrótce został instruktorem, wspólnych wypadów na piwo. Później kontakt się urwał, bo i tamten porzucił bilarda, ale wpadli na siebie w ubiegłym roku, przed meczem Cracovii, która z fasonem wchodziła do II ligi, a na trybunach zdarzało się po 10 tysięcy widzów. Następnego wieczoru, w pubie, stwierdził, że teraz nie może mu zaoferować skorzystania z jego usług, jak w bilardowych czasach, bo handluje hardware'em.

Komputerów Maniek używał tylko do gier, a z następnych żarcików Maciek wywnioskował, że musi chodzić o broń. Kiedy jednak spytał wprost, tamten zmienił temat. Przyszła pora, żeby sprawę zgłębić. Odnalazł w kontaktach zapisany wówczas numer.

- Uuuu, oczom i uszom nie wierzę. Myślałem, że już się nie odezwiesz, redaktorze.
- Cześć. Chciałbym pogadać o twoich sprawach handlowych i może coś od ciebie kupić.
- Pogięło cię?!

- To dla mnie ważne. Możemy się spotkać gdzieś, gdzie mógłbyś mi służyć jakimiś rekwizytami?
- Ehhhh. Mam nadzieję, że nie narobię sobie przez ciebie kłopotów - Mariusz westchnął ciężko. -
Przyjedź do mnie na Wrzesińską. Adres ten sam, co kiedyś.

Nikt mu nie otworzył drzwi na trzecim piętrze zdewastowanej kamienicy, z tynkami odpadającymi ze ścian klatki schodowej. Po kilku minutach uporczywego dzwonienia usłyszał tupanie na schodach poniżej. Nad barierką ukazała się głowa Mańka.

- Inaczej niż wszyscy, wychodzisz z ulicy do domu?

- Siema. Byłem po drugiej stronie, musiałem sprawdzić, czy nie ciągniesz jakiegoś ogona. Tobie się wydaje, że to handel kwiatami?

Kiedy usłyszał, z czym przychodzi Maciej, do reszty stracił humor: - Nie ma mowy! Opuść sobie, naprawdę.

- Tacy groźni są?

- Nie, nawet nie za bardzo. Ten Pokutalski to tchórz, który nigdy otwarcie przeciwko nikomu nie wystąpił, potrafi znęcać się nad słabszymi i tymi, nad którymi ma władzę. Wobec silniejszych stać go tylko na drobne złośliwości, które mogą pójść na cudze konto. Do wszystkiego doszedł, szcując ludzi na siebie, obmawiając ich za plecami. Nie miałeś w podstawówce takiego wrednego tłuściocha, który udawał przyjaznego, ale uszczypnął boleśnie dziewczynę, podłożył komuś pinezkę, innemu pobazgrał kurtkę flamastrem, albo przeciął pinezką? Pokutalski jest kimś takim w wydaniu dla dorosłych. Jego szefowie chyba nawet o tym wiedzą, ale jest dla nich przydatny, więc zarządza dużą częścią burdelowego biznesu. Ma instynkt sekciarski, dzięki czemu potrafi kontrolować panienki nie tylko strachem.

Maciek zorientował się, że te opinie musiał ktoś wygłaszać w obecności Mariusza, zbyt zgrabne były.

- No to w czym problem? - spytał.

- Najgorszy będzie wtedy, jeśli faktycznie uda ci się kogoś zastrzelić. Spróbuj sobie wyobrazić, jak sobie poradzisz ze świadomością, że zabiłeś człowieka. Znam cię trochę, więc nie sądzę, żeby ci się udało, a za bardzo cię lubię, żeby ci pomagać w spieprzeniu sobie życia. Poza tym coś takiego to zajebisty hałas, dużo większy niż ten od wystrzału; ściągnie zainteresowanie nie tylko na mnie, ale i na moich szefów.

- A wy co, sprzedajecie broń, żeby ludzie ją trzymali w domu, na trzeciej półce pod bielizną?

- Nie, ale sprzedajemy ją zwykle zawodowcom, a już na pewno nie ludziom, o których wiadomo, że za chwilę zrobią coś głupiego. Nie ma się co targować. To jest dla ciebie. - Mario wyciągnął spod koszuli za plecami czarny, lśniący pistolet.

- To po co było tyle gadania?

- Nie podniecaj się, to na gaz. Tu masz jeszcze zapas. - W drugiej ręce pojawił się pojemnik przypominający używane przez jego tatę do napełniania zapalniczki. - Gaz pieprzowy. Można tym strzelać do pięciu metrów, choć lepiej z o połowę bliższej odległości. Wielkiej krzywdy tym nie

zrobisz, ale wyeliminujesz przeciwnika na jakiś czas. A o to ci przecież chodzi.

- Ile ci jestem winien?

- Tysionc pincet.

- To znaczy półtora kafla?

- Nie, to znaczy tysionc pincet sto dziewincet. Schowaj kasę, to pożyczka. Mam nadzieję, że zwrócisz. Tutaj używana broń chodzi jak nowa, bo jest uważana za sprawdzoną.

- Wielkie dzięki. To zapłacę, gdybym nie mógł zwrócić.

- Dobra, dobra. Powiedz lepiej, gdzie jedziesz po tę dziewczynę?

- Jeszcze nie wiem, czekam na info. O ile informator się odezwie.

- Dzisiaj mam zajęte popołudnie, ale jest ktoś, kto może ci choć trochę pomóc. Zawiezie cię tam, poczeka w ukryciu, a potem was odbierze. Nie będziesz miał wszystkiego na głowie.

- I zrobi to ot tak?

- Feniks jest twoim fanem, tak samo jak ja, nawet na tym tle żeśmy się zgodali. Stary, naprawdę super robotę robicie razem z tym Tomkiem. Musimy kiedyś razem jakiegoś browca wypić. Ten wywiad z Kotowskim to było mistrzostwo. "Od bójek ze skinheadami mam pocięte ręce i złamany nos. Ale mam dużo więcej ran na rękach niż na twarzy. Po prostu ich lałem, dostawali po mordzie. Trzeba im było pacyfizm wbić pięścią do głowy" - cytował z pamięci fragment, z którego Maćkowi został tylko ogólny sens.

Trudno powiedzieć, czemu "Feniks" zawdzięczał swoją ksywkę. Żeby chociaż miał płowe włosy, nos jak dziób, długie ramiona przypominające skrzydła. A on był drobny, ciemny i nerwowy. Tak też prowadził sportowego opla calibrę, wioząc Maćka do bazy Pokutalskiego na Klinach Borkowskich. Nawet papierosa odpalał w cudaczny sposób, zapalniczkę trzymając kciukiem i środkowym palcem, a krzesiwo pocierając serdecznym.

Kiedy po powrocie z Wrzesińskiej Maciek otworzył skrzynkę na forum politologów, miał wiadomości od wszystkich czterech dziewczyn, które zaczepił. Jedna odpisała, że się nie znają. Dwie inne były nieznajome, ale jedna miała ochotę kontynuować dialog w necie, a druga wręcz zasugerowała spotkanie ("marzy o dziennikarstwie"). Czwarta to była jego Ala. Siedziała przy komputerze, więc po chwili już prowadzili rozmowę. Zaklinała go, żeby nie zdradził, że ma od niej cynk, ale widziała wczoraj Karolinę w willi stojącej tuż obok Opatkowic, gdzie mieszkała część dziewczyn, klubowych ochroniarzy, czasem nocował sam Pokutalski. Karola była prawdopodobnie przetrzymywana w którymś z pomieszczeń w piwnicy, używanej jako magazyn.

"Feniks" przyspieszał i równie gwałtownie hamował, okraszając to wiązkami przekleństw, gdy "jakaś głupia baba" nie dość szybko uciekała z pasa, którym jechał. Maciek na tylnym siedzeniu starał się skierować myśli na jakieś neutralne pole, żeby choć trochę zmniejszyć napięcie i lęk przed czekającą go konfrontacją. Gdyby nie te emocje, porwanie dziewczyny, pewnie czułby się wręcz przyjemnie. W ostatnich dniach napotkani, obcy lub niemal obcy, ludzie pomagali mu zupełnie bezinteresownie. Przeżył już coś takiego siedem lat temu, choć w diametralnie odmiennych okolicznościach, wobec dzisiejszych jawiących się jak niefrasobliwe dzieciństwo. W drugim tygodniu nieco naciąganych praktyk w "Rekordzie" (już po pierwszym roku studiów wiedział, że prawnikiem nie zostanie i taką znalazł drogę ucieczki od prokuratorskiej lub sędziowskiej przyszłości) dostał polecenie zbierania wyników B- i C-klasy. Mało kto miał wówczas komórkę, dopiero zaczynała się akcja przyłączania wsi kablami światłowodowymi i zakładania telefonów stacjonarnych. W tych kompletnie amatorskich ligach rzadko zdarzało się coś takiego, jak namiary

do trenera, czy kierownika drużyny. Brał więc książkę telefoniczną i dzwonił w ciemno do ludzi z miejscowości, skąd był Orzeł, Iskra czy inny Piast.

Gdzieś dodzwonił się do sklepu, ekspedientka mówi: "Ja się nie interesuję meczami, ale proszę poczekać, bo tu przed pawilonem chłopcy piwo piją, to może będą wiedzieć". Jeszcze lepsza była inna kobieta, która kazała mu zadzwonić za godzinę: "Wsiądę w samochód, przejadę po wsi i popytam". Pewien facet obiecał, że będzie miał dla niego rezultaty z całej grupy, bo w hucie w Skawinie pracował z kibicami albo zawodnikami wszystkich drużyn. W jednej miejscinie były w książce telefonicznej tylko trzy pozycje: parafia rzymsko-katolicka, szkoła podstawowa i ochotnicza straż pożarna. Nie przyjrzał się nawet dokładnie numerom, do księdza przecież nie będzie dzwonił w tak trywialnej sprawie, z dwóch pozostałych wybrał straż. "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", odpowiedział na jego powitanie męski głos. "Najmocniej przepraszam, nie chciałem księdzu głowy zawracać, szukam wyniku meczu z niedzieli. Musiałem zły numer wykręcić". "Nie pomylił się pan, my tu mamy plebanię, szkołę i straż pod jednym numerem, zależy kto pierwszy słuchawkę podniesie. Ja jestem proboszczem i komendantem OSP. Nie znam wyniku, ale mam takiego młodego katechetę, który się interesuje futbolem. Zaraz go przyprowadzę".

- Maciek, pobudka - przerwał mu rozmyślenia "Feniks". - Jesteśmy koło tego bajzlu, to za rogiem. Ja tu będę filował, czy nic ci od tyłu nie grozi. Jakby coś się działo, to dam sygnał klaksonem. Tu-tu, tu-tu-tu, tu-tu-tu-tu, tu-tu - wystukał o deskę rozdzielczą znany rytm kibicowski. - Nie zapomnij tych szpejów. - Wskazał leżące na gumowej wycieraczce nożyce do cięcia drutu i diament do szkła. Ala powiedziała, że ogrodzenie jest zbudowane z siatki, a do piwnic można dostać się przez spore okienka.